

KLASYKA MNIEJ ZNANA



Józef Korzeniowski

KOLLOKACJA

universitas

KOLLOKACJA

K L A S Y K A M N I E J Z N A N A

Józef Korzeniowski

KOLLOKACJA

Kraków

© Copyright by Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków

ISBN 97883-242-1081-7
TAiWPN UNIVERSITAS

Projekt okładki i stron tytułowych
Ewa Gray

www.universitas.com.pl

Omnis faber et architectus, qui noctem tanquam diem transigit, qui sculpsit signacula sculptilia et assiduitas ejus variat picturam, cor suum dabit in similitudinem picturae.

Syrah. Cap. XXXVIII v. 28

[Każdy rzemieślnik i cieśla, który noc jako dzień trawi i który sygnety ryte rzeże, a ustawiczność jego czyni rozmaite malowanie, serce swoje na podobieństwo malowania wyda...]

(przekład Jakuba Wujka)

I

Było to w roku 1838 – albo: Podczas jednego pięknego poranku w maju – albo: W jednej z najrozkoszniejszych okolic Podola lub Polesia – albo: Właśnie słońce miało się ku zachodowi, gdy... itd.

Tym sposobem zaczynają się zwykle powieści tkliwe, zabawne lub nauczające. Pozwolą mi jednak czytelnicy odstąpić od tych przyjętych form i zacząć od rzeczy najbardziej krajowej, najbardziej charakteryzującej naszą żyzną prowincją w pewnych porach roku, to jest: od błota.

Otóż błoto było ogromne, jak zwykle bywa na Wołyniu w połowie października. Koleje pełne gęstej i brudnej wody nie pozwalały wymierzyć swej głębokości; po czarnej i rozmięklej ziemi błyszczwały tu i ówdzie jeziora na trakcie i nawet na polach przygotowanych do wiosennej siewby; we wsiach wszystkie płoty były obryzgane, wszystkie karczmy wyglądały pstrokato; wszędzie ludzie, dochodzący do wrót lub do drzwi domów, podkasani jak najwyżej,

z zabłoconymi nogami, ślizgali się i grzęzli; jeżeli kto jechał, to jechał stępo i leniwemu postępowi jego towarzyszyła muzyka kopyt końskich, kłapiących o rzadkie błoto lub topiących się w rozmięklej ziemi, wcale różna od tego odgłosu, jaki wydawał koń Farysa, gdy lotną swą nóżkę w głębokim piasku zanurzał.

W takim była stanie piękna w innej porze okolica starokonstantynowskiego powiatu; żyzna, wzgórkowata, ozdobiona prześlicznymi laskami, które teraz nie zieleniły się, nie rzucały rozkosznych cieni, ale obnażone z liści stały spokojnie na wzgórzach, jak skielety gajów i klombów. Niebo jednakże było czyste i, jak się to czasem zdarza w połowie października, słońce zaświeciło jasno, tym blaskiem melancholicznym, tak podobnym do ostatniego uśmiechu, którym oddalający się przyjaciel żegna przyjaciela lub odjeżdżający w daleką podróż syn żegna rodziców i krewnych stojących na ganku i przesyłających mu ostatnie pocałowanie.

O cztery mile od Starego Konstantynowa na lewo, ugrzązł na drodze w kałuży wielkiej i głębokiej kocz otwarty, w którym były dwie kobiety. Jedna, już niemłoda, brzydka, ale ubrana z przesadą i kokieteryą, zżymała się i łajała furmana łamanym polskim językiem, druga, mająca nie więcej jak lat ośmnaście lub dziewiętnaście, w eleganckim kapeluszu, w materialnej salopie, strzelała wokoło czarnymi oczami, śmiała się do rozpuku i z swojej przygody, i z gniewu towarzyszki i poprawiała białą i wąską rączką pukle czarnych włosów, które się wydobywały spod kapelusza i ocieniały twarz jej trochę śniadą, ale pełną czerstwości i ognia.

Furman i lokaj, grzęznąc po kolana w błocie, starali się pomóc koniom i podnieść cokolwiek kocz, ale w żaden sposób z miejsca ruszyć go nie mogli. Ich ładna liberia, ich ręce i twarze, wszystko było obryzgane i zawalane. Zmęczeni nareszcie i zdesperowani, sami nie wiedzieli, co począć.

– Żeby jaki chłop nadjechał z drążkiem – rzekł Maciej furman, obcierając rękawem twarz i rozmazując jeszcze gorzej błoto z wielką pociechą panny Kamili.

– Kto teraz jeździ, co ma rozum! – odpowiedział lokaj Ignacy z gniewem i ofuknieniem.

– Słyszysz, Belciu, co on mówi? – rzekła panna Kamila do panny Beldeau, swojej guwernantki, którą przez skrócenie i w poufności panny na wydaniu, a może i przez kontrast jej szpetności, Belcią nazywała.

– Bo ma racją – odpowiedziała Francuzica z okropnym grymasem. – Zachciało ci się tej wizyty nie wiedzieć po co; teraz wrócim do domu piechotą, po kolana w błocie. *Fi! quel vilain pays!* [Pfuj! Co za obrzydliwy kraj!]

– Widzisz, Belciu, jakaś niewdzięczna! Nie byłabyś widziała pana Kazimierza, który nie mógł się napatrzeć na twoje kolczyki i tak admirował twój łańcuch.

Uśmiechnęła się guwernantka i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

– Ignacy! – zawołała panna Kamila – wszak to Szyszkowce widać?

– A rozumie się, że Szyszkowce – odpowiedział ruszając ramionami.

– O! to nie masz czego desperować, moja Beluniu! Wszak tu nie więcej jak ćwierć mili do domu. Przez ten wzgórek musi być sucho; słońce świeci tak jasno, możemy pójść i piechotą.

– Co panna mówi? – rzekł Ignacy. – Za tym pagórkiem zaraz staw i bagno po szyję.

– O! ja nieszczęśliwa – krzyknęła panna Beldeau. – Widzicie, jak wy głupca zajechała, *quels gens, mon Dieu! o! le maudit pays!* [co za ludzie, mój Boże! Och! przeklęty kraj!]

– Ale doprawdy, Ignacy, cóż my będziemy robić? – zapytała panna Kamila.

– A cóż? Będziemy czekać, może się te bestie namyślą i wezmą razem, jak odpoczną.

– A jak się nie namyślą? – rzekła uśmiechając się figlarnie.

– To będziemy czekać, póki kto nie nadjedzie.

– A jak nie nadjedzie? – mówiła znowu panienka. – I ja myślę, że tak będzie, boś ty sam powiedział, że teraz nikt rozumny nie jeździ.

– A cóż, to wtenczas wsiądę na konia i pojadę do domu po insze konie.

– Czy nie lepiej by od tego zacząć, panie Ignacy? Jak myślisz? – rzekła opierając na dłoni piękną swą twarzyczkę.

– Jeśli panna każe, to pojadę zaraz. Macieju, odpręż ślepego!

– Aha! żeby cię zrzucił, mazgaju! Lepiej siadaj na białonóżkę; a i na tym trzymaj się dobrze, bo to wy, kredensowa piechota, nie umiecie się obchodzić z koniem.

Tak mruczał wąsaty furman i zabierał się odpręgać dyszlowe-

go konia, odgartując biczyskiem błoto z pasów i sztelwagi. Panna Kamila uśmiechnęła się patrząc na tę pogardę furmana dla lokaja. Gdyby była więcej знаła świat, wiedziałaby o tym, że na różnych szczeblach społeczności bywa to samo; różnica tylko w dowcipie drwinek i formie liberii.

Gdy tak Maciej krzątał się i kłął wizyty w październiku, obie kobiety, oparłszy się w otwartym kocz, patrzyły jedna na prawo, druga na lewo.

Na lewo były Szyszkowce, wielka wieś prezesa Zagartowskiego, ojca panny Kamili; na prawo w roztwierającej się coraz dolinie rozciągały się Czaplince, wieś ogromna i wielu licząca dziedziców. Należała ona niegdyś do możnej familii hrabiego S., a później przez eksdywizję rozdzielona na wiele części stała się rzecząpospolitą kolokacyjną, pełną intryg, namiętności, gniewów, przyjaźni, partii itd., słowem, pełną tego wszystkiego w małych wymiarach, co bywa w każdej rzeczypospolitej na wielką skalę.

O kroków dwieście od tego miejsca, gdzie stał w błocie kocz panny Kamili, zawracała się na prawo szeroka droga do Czapliniec i widać było, jak, rzędem wierzb wysadzona, ciągnęła się przez wieś całą. Tu i ówdzie na prawo i na lewo drogi sterczały kominy dworów i dworków okrążonych – ten ogrodem, ten zabudowaniami gospodarskimi. Wiedziała o tym panna Kamila, że ojciec jej, który był wielbicielem pruskiej metody zaokrąglania, miał wielki pociąg do Czapliniec i używał wszelkich sposobów i intryg, aby ją wsią zawładnąć, bo grunta jej wchodziły długim pasem w jego łany i przerzywały najkrótszą komunikację między Szyszkowcami a innymi wsiami prezesa, które poza tą wsią leżały i już po obu stronach obejmowały ją dławiącymi ramionami. Wszakże panna Kamila żadnego z tych dziedziców nie znała; ledwie parę ich nazwisk obilo się o jej uszy, a przez wieś samą przejeżdżała tylko kilka razy. Teraz, gdy siedziała i patrzyła, zastanawiała ją, nie wiedzieć dlaczego, wierzby nagie długim szeregiem rozciągnięte, dworki i domki, w które myślą wchodziła i wyobrażała sobie ich mieszkańców; ale nade wszystko zastanowił ją dym wychodzący jasnym słupem z komina jednego z najposażniejszych dworków, który w środku wsi z prawej strony drogi leżał, czysto wyglądał, miał przy bramie wysokie topole, z tyłu jakby ogród czy lasek, a z boku obszerne zabudowania gospodarskie. Im wyżej podnosił się ów biały słup w powietrze, tym przezroczystszym się stawał, tym rozmaitsze przybierał

formy, a przyjmując w siebie żywe promienie jesiennego słońca, rozlicznymi ozdabiał się kolorami. Panna Kamila, z próżnowania zapewne i z nudów, wpatrzyła się w tę żywą i ruchawą kolumnę, zamyśliła się i zaczęła marzyć. Tymczasem koń już był odprężony, Ignacy z niezgrabnością, z której ironicznie uśmiechał się Maciej, miał już wsiadać, gdy nagle z tyłu dał się słyszeć łoskot z bicia.

– Ot, zaczekaj – rzekł Maciej – ktoś jedzie, to może prędzej nam da radę niż ty. Ty tam gdzie zlecisz w błoto i będziemy czekać do wieczora. – To powiedziawszy, wziął konia za cugle i znowu go przykładął do dyszla. Tymczasem uderzenia z bicia powtarzały się i powóz się przybliżał. Gdy już był niezbyt daleko, rzekł Maciej kiwając głową:

– Diabła by zjadł, klusem jedzie, musi mieć tęgie konie.

– Albo lekką bryczkę – dodał Ignacy. – To my tylko po błocie takimi ciężkimi powozami jeździmy.

W rzeczy samej była to nietyczanka zgrabna i leciutka i cztery konie dzielne, choć niewielkie. Poganiał je chłopak młody i żwawy; a im bardziej przybliżał się do stojącego powozu, tym głośniej wołał „hou!” i tym silniej walił z bicia. W nietyczance siedział młody człowiek pięknej i męskiej twarzy, z ładnymi włosami blond, w ciepłym tużurku zapiętym pod szyję, spod którego widać było jego wzrost wysoki, silną budowę i zgrabną figurę. Czapka aksamitna nakrywała gęste i jasne włosy, brwi ciemniejsze zaginały się pod białym i szerokim czołem, a rzęsy jeszcze ciemniejsze ocieniały oczy duże, błękitne, śmiałe i spokojne. Obok niego sterczała strzelba, a piękny legawiec z ogromnymi kasztanowatymi uszami, wsparty przednią łapą na wasążku, bystro i ciekawie patrzył ku powozowi.

Droga była szeroka, tak że dwa powozy wygodnie wyminąć się mogły. Wjechała i nietyczanka śmiało w kałuże; ale gdy się zrównała z koczem, gdy pan Józef Starzycki, bo czemuż nie mamy go nazwać od razu, postrzegł dwie panie w tak krytycznym położeniu, krzyknął na swego chłopaka: stój! Zatrzymał Michaś konie, które się otrzęsły zadzwoniwszy kółkami krakowskich chomątów i wyciągając głowy naprzód, i szczerząc zęby folgowały sobie zbyt ściągnięte cugle. Wtenczas pan Józef obracając się do panny Kamili zdjął czapeczkę, błysnął szerokim i białym czołem, które ślicznie odbijało od ogorzałej cokolwiek twarzy, i zapytał:

– Czy panie potrzebują pomocy?

– Stoimy tu od godziny i nie możemy ruszyć – odpowiedziała

panna Kamila z uśmiechem pełnym słodyczy i orzuciła wzrokiem pięknego młodzieńca.

– Niech wielmożny pan pozwoli swemu chłopakowi, aby mógł podjąć cokolwiek kocz, a może ruszę z miejsca. Diabli by wzięli tę szlachtę z Czapliniec, nie ponaprawiają drogi. – Uśmiechnął się na te słowa pan Józef i wzięwszy lice z rąk Michaśa kazał mu pomagać.

Tymczasem panna Kamila odgartując pod kapelusz loki, które twarz jej zasłaniały, rzekła:

– Mamy dom obok, a nie możemy się do niego dostać.

– Panie stąd niedaleko mieszkają?

– Oto jest mieszkanie mego ojca – odpowiedziała ukazując na Szyszkowce.

Na te słowa, nie wiedzieć dlaczego, żywy rumieniec wystąpił na twarz pana Józefa. Panna Kamila postrzegła to i także, nie wiedzieć dlaczego, spuściła oczy, a panna Beldeau patrząc na przystojnego młodzieńca, także nie wiedzieć dlaczego, zaśmiała się i pokazała dwa rzędy zębów, z których połowy nie było, a druga połowa była czarna i wykruszona.

Wszakże wszelkie usiłowania ludzi nie pomogły, konie licowe szarpnęły i zaczęły skakać czując ciężar nad siłę, dyszlowe spierały się nazad i jakiś upór je opanował. Nie brały więc wszystkie, nie brały razem i dlatego powóz został na miejscu.

– Słuchaj no, kochanku! – rzekł pan Józef do Macieja – wyprząż ty swoje konie, zostaw tylko licowe, na które wsiaǳie mój chłopak; do dyszla załóǳcie moje, to wyjedziecie. A panie dobrze by zrobiły, żeby przeszły do mojej nietyczanki. Nie dlatego – dodał z uśmiechem – aby ciężar był wielki, ale że szarpnięcie może być za silne i furman z próżnym koczem będzie śmielszy.

– O, co to, to wielmożny pan doskonale powiedział, dalibóg, że prawda. Żeby tam panienki nie było, jakeśmy wleźli w tę jamę, byłbym i swoimi wyjechał, choćby na złamanie szyi. A dałżebym im, bestiom, hartu! – rzekł Maciej złażąc z kozła i biorąc się do odprężania dyszlowych koni.

– Ale jakże my się dostaniemy do pańskiego powozu? – rzekła śmiejąc się panna Kamila. – Belciu! idź ty naprzód, obaczę, jak tam głęboko.

– *Ah! mon Dieu! mon Dieu!* [Ach! mój Boże! mój Boże!]
zawołała z grymasem Francuzica. – Czyż ty chcesz, żebym utonąła

w błocie? – Zaśmiała się na te słowa panna Kamila głośno pleszcząc rękami, a pan Józef, słysząc ten głos czysty i wdzięczny, patrząc na te ruchy pełne gracji i żywości, zamyślił się i po chwili, odsuwając swego legawca i ukazując mu miejsce na koźle, co Amor natychmiast wykonał, oddał lice kozaczkowi, a sam wyskoczył z bryczki i w kilku susach był obok koczka.

– Nie ma innego środka, jak panie przenieść – rzekł i chciał drzwiczki otworzyć. – Czy pani się zrezygnuje? – Zaczerwieniła się jak róża panna Kamila; spojrzała bystro na młodzieńca, który z niej nie spuszczał oczu, i zapytała:

– Czy innego środka nie ma?

– Zdaje mi się – odpowiedział młodzieniec, którego oczy zaśiskrzyły od radości.

– Ignacy! przenieśże mię na bryczkę tego pana! – rzekła panna Kamila.

Przystąpił Ignacy i podniósł ku niej ręce czarne i błyszczące lawą błota, która ciekła po rękawach i za rękawy i w szerokich kałużach stała na jego płaszczu. Na ten widok parsknęła od śmiechu panna Kamila, cofnęła się w głąb koczka ze wstrętem i zawołała:

– Belciu! niech on ciebie przeniesie!

– Fi! Fi! – krzyknęła Francuzica – nieznosna Kamilciu, czyż ty masz sumienie?

– W rzeczy samej to niepodobna – rzekł pan Józef. – Ten biedny człowiek okropnie wygląda. Raczej panie przyjąć moją usługę. Jestem silny i cokolwiek czystszy od niego.

– Cóż mam robić? Pan zamoczy nogi, nie czas certować się. Bierz pan – dodała z niewypowiedzianym wdziękiem i wyciągnęła ku niemu rękę.

– Michaś! trzymaj konie – krzyknął pan Józef, otworzył drzwiczki i wziął na ręce wyniosłą, zgrabną i lekką panienkę. Ona objęła jego szyję drżącą ręką i już nie śmiała się, bo czuła, jak ją tulił silnym ramieniem, jak stapał ostrożnie, aby żadna kropla na nią nie bryznęła; jak szedł z wolna, może dlatego, aby dłużej nieść tak miły ciężar; jak ją wsadzał delikatnie, aby jej nóżka nie dotknęła nawet zabryzganego wasążka. Gdy już usiadła, spojrzała nań z wdzięcznością i w tym wejrzeniu jej czarnych, ślicznych oczów wypisało się może nawet więcej, niż chciała.

Wrócił pan Józef znowu do koczka i przeniósł także pannę Beldeau, która z dziwnymi umizgami i minoderią sadowiła się w je-

go objęcia. Tak więc obie znalazły się niespodzianie w bryczce młodego podróżnego, który stanął na stopniu i usiadł z boku na wasażku. Nim przepiężono konie i wydobyto powóz, co potrwało blisko pół godziny, panna Kamila chcąc zacząć rozmowę, a może i dowiedzieć się czegoś, skąd, dokąd jedzie, rzekła:

– Jakiego pan masz pięknego psa. – Amor, leżąc na kozle i spuściwszy głowę do środka bryczki, jak by zrozumiał, że o nim mowa, spojrzał ciekawie i łagodnie w oczy panienki i zaczął podnosić ogromne swe uszy. – Jak on patrzy – dodała panna Kamila – jak by mię rozumiał.

– Bo w rzeczy samej rozumie – odpowiedział pan Józef. Pies jeszcze bystrzej patrzył w oczy to swemu panu, to pannie Kamili.

– Jak się nazywa? – zapytała.

– Ma nazwisko trochę romansowe, a razem pedanckie. Nazywa się Amor – odpowiedział czerwieniąc się pan Józef.

– On pewnie nie kasa – rzekła panna Kamila wyciągając rękę i głaszcząc nieśmiało piękne zwierzę. W mgnieniu oka Amor podniósł się, spuścił się delikatnie do środka bryczki, przysiadł na zadnich łapach tak, że jej nóg nie ugniótł, i położył głowę na jej kolanach. Z początku trochę przestraszona, potem uradowana panienka zaczęła go głaskać i pieścić, a pies patrzył jej w oczy i wejrzeniem pełnym wyrazu zdawał się dziękować za jej dobroć. A gdy po chwili odjęła rękę od jego głowy i przestała go karesować, zwinął się w kłębek i u nóg się jej ułożył.

– On pani nogi ugniecie – rzekł prędko pan Józef, rad w duszy, że pies przeniknął jego myśli.

– Bynajmniej. Pozwól mu pan tak zostać! Co to za pocziwe stworzenie! On by mię teraz obronił, gdyby mi kto chciał krzywdę zrobić – dodała panna Kamila patrząc dziwnie na zajmującego się widocznie młodzieńca.

– Tego możesz pani być pewna i dziękuję pani, żeś tak łaskawie przyjęła wiernego towarzysza mojej podróży.

– Pan z daleka jedzie? – zapytała.

– Jadę z Podola, gdzie mam maleńki mająteczek, dla odwiedzenia moich rodziców, dziada i babki, którzy tu mieszkają. Mam także siostrę dobrą i kochaną, której Bóg daje męża i na której ślub spieszę.

– O mój Boże! cóż to musi być za szczęście mieć brata! – rzekła panna Kamila.

– Jest to błogosławieństwo Boga, kiedy familia liczna i zgodna – odpowiedział pan Józef.

– Pan mówiłeś, że rodzice pana mieszkają tu; gdzież to? czy daleko? – zapytała spuszczać oczy.

– W tej wsi, którą pani widzisz.

– W Czaplińcach?

– Tak jest – odpowiedział czerwieniąc się. Żywy rumieniec okrył także twarz panny Kamili.

Ale wkrótce jakby uczuła to, że jej lice płonie, potrząsa główką i z uśmiechem rzekła:

– Więc będziemy przez niejaki czas sąsiadami! Mam nadzieję, że pan zechcesz odwiedzić mego ojca. To tak blisko!

– Będę bardzo szczęśliwym, jeżeli pan prezes pozwoli mi złożyć sobie uszanowanie.

– Czyż nie jest już panu obowiązany, żeś wyratował z biedy jego jedynaczkę? – Potem obracając się na prawo, może dla ukrycia swego pomieszania i wzruszenia radości, rzekła: – Stąd widno wiele dworów w Czaplińcach; czy też ja zgadnę, w którym pana rodzice mieszkają?

– Niech pani spróbuje – odpowiedział czując jakieś dziwne szczęście, które piersi jego zalewało.

– Patrz pan – rzekła wyciągając rączkę – w tym domu, gdzie topole koło wrót i z którego ten wysoki słup dymu wychodzi. Czy zgadłam? – dodała zwracając twarz ku niemu i patrząc z wyrazem pełnym znaczenia.

– O! zgadłaś pani, tam urodziłem się – odpowiedział drżącym głosem; ale daleko wymowniej odpowiedział wzrokiem na jej przenikliwe wejrzenie. W czasie tej chwilowej i niemej rozmowy ich oczów i dusze tych dwojga ludzi, które przypadek sprowadził, zabierały z sobą ściślejszą znajomość.

Tymczasem powóz był już wyciągnięty z kałuży i konie na powrót przeprężone. Furmani siedzieli na kozłach; szło tylko o to, jak znowu damy przeprawić do ich powozu, aby nie zamoczyły nóżek. Panna Kamila z taktem właściwym kobiecie, a raczej nie chcąc pokazać rodzącej się słabości, rzekła z wdziękiem:

– Już teraz pana fatygować nie będziemy. Niech pan każe tak podjechać pod nasz powóz, żebyśmy mogły przeskoczyć niewielki przedział.

Gdy się stało, jak chciała, i drzwiczki od kocza były otwarte,

naprzód panna Beldeau, stanąwszy na wasążku i opierając się jedną ręką na ramieniu pana Józefa, a drugą na ramieniu Ignacego, szczęśliwie, choć nie bez grymasów i śmiechów, dostała się do koczka.

– Teraz na mnie kolej – rzekła panna Kamila – ale chciałabym się jeszcze pożegnać z pańskim towarzyszem podróży, który mnie tak gościnnie przyjął.

– Amor! – zawołał pan Józef. Powstał pies i spojrzał w oczy panu, jak by chciał dowiedzieć się, co każe.

– Poczciwy Amor! – zawołała panienka głaszcząc go. On położył znowu głowę na jej kolanach; a wdzięczna panna Kamila, objąwszy ją obiema rączkami, przyłożyła do niej zarumienioną twarz i rzekła: – Bądź zdrow, poczciwy piesku! ładnie się nazywasz. – Potem porwała się lekka i zgrabna, a zaledwie dotknąwszy ręką ramienia pana Józefa, jak sarneczka przeskoczyła z bryczki do koczka.

Gdy drzwiczki były już zamknięte, a młodzieniec stał jeszcze przy powozie, jak by czekał ostatniego słowa, wyciągnęła ku niemu rękę i dodała:

– Dziękuję panu, nie zapomnę nigdy tej przysługi. – Wziął jej rękę pan Józef, przycisnął do ust i uczuł delikatne i parę razy powtórzone ściśnienie. Ruszył kocz, ruszyła nietyczanka i rozdzielili się. Jedno pojechało na lewo, drugie na prawo, ale myśli ich były podobno razem.

II

Dom prezesa Zagartowskiego był obszerny, zamożny; ale, jak zwykle bywa u zdobywców fortuny, wszędzie jeszcze czegoś niedostawało: był niedobudowany, w gospodarskich budowlach niekompletny, nawet w wewnętrznym umeblowaniu nie miał tego wykończenia, tej zupełności, która zdaje się mówić: już dosyć. Bo

w rzeczy samej, dla prezesa, jak niegdyś dla jezuitów, nigdy nie było dosyć. Bo też w duchu, chęciach i sposobach był prezes zupełnym jezuitą. Dla niego cel był wszystkim. Dążył do niego stale i upornie; oceniał środki nie uczuciem, nie sumieniem, ale rozumem, i przyznawał każdy z nich za dobry, jeżeli doprowadzał do celu prędko i skutecznie. W zewnętrznym ułożeniu miał także wiele podobieństwa: był łagodny, ujmujący, kochał dziatki, pochlebiał matkom, chętnie pożyczał na małeńki procent, ale gdy przyszedł termin, był nieubłagany.

Nie był to wszakże skąpiec. Owszem, lubił wygody i dla siebie niczego nie żałował. Szczególniej jadł ogromnie i stół jego można było uważać za najlepszy w okolicy. Ale był łakomy, zdobywczy, pragnął coraz więcej nabywać, rozszerzać się, zaokrąglać. Szyszkowce dostał po ojcu, który był kiedyś komisarzem w jednym z najmniejszych domów na Podolu. Do tej pięknej wsi przydał już pięć innych, ale jeszcze nie powiedział sobie: basta. Teraz właśnie wszystkie swe siły, wszystkie sprężyny wyteżył na Czaplińce, aby kolokowaną w nich przed kilkunastu laty szlachtę skupić. Ten był cel życia, to marzenie prezesa; z tą myślą kładł się i wstawał. Prezes był niewielkiego wzrostu. Gdy szedł, przechylał się na kucych nogach, bo był dość otyły. Podniesione miał plecy, krótkie ramiona i tłuste rączki, które zwykle spletał na brzuchu i kręcił młynka dwoma wielkimi palcami, przechyliwszy głowę. Była to jego zwykła poza i – że tak powiem – jego szyk bojowy, zwłaszcza gdy się miał defensywie; gdy kogo słuchał, a nie chciał odpowiedzieć, gdy co innego myślał, a co innego mówił; gdy krętą ścieżką sprowadzał swą ofiarę do swego celu; gdy go o co proszono, a on nie chciał zadosyć uczynić; gdy mu kto ostre przymówki robił, a on je znosił i ofiarował Panu Bogu. Bo prezes nigdy się prawie nie gniewał, nie zapalał; ale cicho, jednostajnie, to idąc, to pełznąc, to drapiąc, to depcząc, ale zawsze pobożnie, z przechyloną głową, z rękami splecionymi, z młynkiem dwóch wielkich palców dochodził do swego. Czasem tylko, gdy już był zupełnie panem swego przeciwnika, porzucał tę pobożną i pokorną minę, zmieniał zupełnie głos i wówczas mówił wprost do rzeczy, zwięźle i mocno. Twarz miał nieszpętną, ale szeroką, takież nos i usta. Dwóch zębów nie miał z przodu, przez co syczał, zwłaszcza wówczas, gdy wymawiał: Jezus Maria!, od czego zwykle zaczynał frazes, gdy udawał zadziwienie, gdy się na co nie zgadzał, gdy pod powłoką łagodnych słów i su-

mienia ukrywał jad zawziętości, szachrajstwo lub łakomstwo. Wtenczas także przymrużał siwe oczy, bystre i przenikliwe, marszczył wąskie czoło, na którym sterczały prosto nisko przycięte włosy jasnego, ale nieczystego koloru.

Od lat dwunastu prezes owdowiał. Żona jego, po której wziął znaczny posag, pochodziła z dawnych ormiańskich familii, osiedlonych koło Kamieńca i w Galicji, na Pokuciu. Była to kobieta żywa, ładna, wysoka i mocno śniada, z nosem cokolwiek za dużym i z oczami zanadto wielkimi. Zostawiła mu jedną tylko córkę, która wzięła od matki kibić wyniosłą i giętką, pleć cokolwiek śniadą, czarne oczy, krucze włosy, a może i żywość wschodnią. Ale co w matce było nadto wydatnym i ostrym, to już złagodziło się i zaokrągliło w rysach córki, tak że była kompletnie piękną brunetką. Prezes nie żałował wydatków na jej wychowanie, ale nie umiał nim kierować, a przy tym nie miał czasu i chęci. Mówiła ona ładnie po francusku, ale mało umiała; grała biegle, ale bez wyrazu i taktu; rysowała, ale niepoprawnie, ostro, bez pojęcia cieniów i światła, bez uczucia piękności. Ten niedostatek miał źródło w jej charakterze żywym, samowolnym, nieujętym, któremu zatrudniony swymi zdobyciami ojciec pozwolił rozwinąć się zupełnie, a którego guwernantki, niedbałe i nieumiejętne, z dzieciństwa uhamować nie umiały. Wszakże te wady nie ujęły pannie Kamili powabów, bo szczodra natura dała jej dowcip, rozum naturalny i bystry, serce ogniste, prawe, pełne nieograniczonej dobroci i najszlachetniejszych popędów. Pysznił się prezes wdziękami i rozumem córki, ale nie można powiedzieć, żeby ją kochał tą wysoką rodzicielską miłością, która jest najczystszy promieniem, jaki się z nieba przedarł do ziemi. On ją kochał jako coś najdroższego, co do niego należało. Ona zaś widząc wszystkie działania ojca, chociaż go kochała, choć milczała, ale w duszy przychodziła nieraz do tego bolesnego stanu, do którego czasem niebaczni i nieuczciwi rodzice dowodzą rozumne i szlachetne dzieci; panna Kamila nieraz w bezsennych nocach sądziła postęпки ojca i potępiała je ze łzami.

Panna Beldeau była to brzydka Francuzica, bez nauki, ale nie ze złym sercem, pełna pretensji, z której sobie drwiła rozumna i dorosła panienka. Panna Beldeau nie była w stanie poprawić wad, jakie się w tym cudnym stworzeniu zagnieździły. Całą jej zaletą była śliczna francuska pronuncjacja, za co też od lat piętnastu brała na Wołyniu i na Podolu po różnych domach po dwieście i po